

Gregory Peck.

Legenda Hollywood.



Gregory Peck, 1946 r., fot. Eileen Darby, Getty Images.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Gregorego Pecka (1916-2003), wielką legendę amerykańskiego kina i uwielbianego gwiazdora Hollywood, przez wiele lat

uważano za najprzystojniejszego mężczyznę Ameryki. W 2000 roku aktor oficjalnie przeszedł na emeryturę. Ostatnie pożegnalne przedstawienie odbyło się na deskach Elisnore Theatre w Salem. Podczas dwugodzinnego spotkania zatytułowanego "Rozmowa z Gregorym Peckiem" aktor opowiadał anegdoty ze swojego filmowego życia i doskonale, choć po raz ostatni, bawił publiczność. A jeszcze tak niedawno twierdził, że co jakiś czas pojawiające się propozycje ról charakterystycznych, starych dziadków czy wujków absolutnie mu nie odpowiadają, bo właśnie teraz czuje się najbardziej świadomy i profesjonalny i nie ma zamiaru zejść ze sceny.

Z okazji 84-tej rocznicy urodzin córka Cecylia Peck, aktorka i producentka, zamówiła pełnometrażowy dokument o życiu swojego taty. Film Barbary Kopple, jednej z najślawniejszych amerykańskich dokumentalistek pt. "A conversation with Gregory Peck", stał się na Festiwalu w Cannes dużym wydarzeniem, gdyż wielki gwiazdor zwykle chronił swój prywatny wizerunek i starał się pozostać tylko ekranowym idolem. Ciekawie było zobaczyć jak na przykład prezydent Francji Jacques Chirak, na prywatnym spotkaniu żartuje sobie, że Gregory Peck ubiegł go w rywalizacji o względy pięknej i młodej, francuskiej dziennikarki Veronique Passani. Film pokazuje życie gwiazdora z drugą żoną, Veronique, cieniem tajemnicy okrywając pierwszy związek z Gretą Kukkonenen, która całe życie darzyła go uczuciem i zachowała ciepłe

wspomnienia.

Eldred Gregory Peck urodził się w 1916 roku w małej kalifornijskiej miejscowości La Jolla. Jego ojciec był właścicielem małej apteki. Uważał się jednak za pechowca, ponieważ nie zrealizował marzenia o studiowaniu medycyny. Pragnął więc by to marzenie spełnił jego syn. Ojciec Gregorego, też Gregory Peck, pochodził z irlandzko-angielskiej rodziny. Zanim wyjechał do Stanów Zjednoczonych, 8 lat spędził na farmie w Irlandii. Na emigracji za oceanem, bez wymarzonego wykształcenia i z praktyką jedynie na roli, nie umiał znaleźć sobie miejsca. Dochodziło więc w rodzinie do konfliktów. Mimo różnicy zdań, po latach jednak żyli z synem w przyjaźni. Gdy ojciec Gregorego miał już dobrze ponad 70 lat, jego ulubioną zabawą było jeżdżenie po stacjach benzynowych z prośbą o zatankowanie do pełna. Podawał kartę kredytową z wyraźnie widniejącym nazwiskiem: Gregory Peck i obserwował reakcje. Wszyscy pracownicy stacji przyglądali się mu z ogromnym zdziwieniem, a on z szelmowskim uśmiechem czym prędzej wyjaśniał - *Tak, jestem Gregory Peck, tylko coś z moim zdrowiem ostatnio nie najlepiej.*

Gregory wspominał swoje dzieciństwo jako beztroski i sielankowy okres w życiu. Do szkoły odprowadzał go wierny pies Bud. Potem cierpliwie czekał przed sklepem spożywczym przy głównej ulicy, a z wybiciem godziny 15 wracał pod szkołę. Tę

sielanekę rozbił rozwód rodziców. Matka zabrała wówczas chłopca i wyjechała do rodzinnego miasteczka St. Luis. Gregory, żeby pomóc matce, chwycił się różnych prac, sprzedawał na ulicy gazety, rozwoził towar do sklepów. Bieda spowodowała jednak, że wrócili do La Jolla, matka znalazła pracę w Los Angeles, a chłopca wychowywała babcia. Gregorego posłano do katolickiej szkoły o profilu wojskowym. Pobudka o 5.30 rano, sami zakonnicy jako nauczyciele. Przez jakiś czas marzyło mu się nawet, żeby zostać księdzem. Kiedy jednak matka powtórnie wyszła za męża, przyszły gwiazdor przeniósł się do ojca, a ten za wszelką cenę pragnął dla niego kariery medycznej. Gregory zapisał się więc do college'u w Berkeley z zamiarem studiowania medycyny. Miał też kontakt z matką i jej drugim mężem, który hodował konie i wystawiał je na wyścigach w San Francisco. Nauczył się wtedy dobrze jeździć konno, co tak mu się potem przydało w westernach. Na studiach po raz pierwszy zetknął się ze sceną, grając w amatorskich przedstawieniach. Wtedy doszedł do wniosku, że występowanie przed publicznością przywraca mu pewność siebie i postanowił zostać aktorem. Pierwszym krokiem było pozbycie się zniechęcającego imienia Eldred, które matka podobno znalazła przed chrztem przypadkowo w książce telefonicznej. Następny krok, to postaranie się o dwuletnie stypendium umożliwiające solidny kurs aktorski i wyjazd do Neighborhood Playhouse w Nowym Jorku. - *Ojciec twierdził, że nigdy tak na prawdę nie chciał być aktorem* - wspominał jego syn Stephen - *robił to tylko dla pieniędzy*. Czy rzeczywiście

aktorstwo było jego marzeniem? Na pewno wtedy tak mu się wydawało. W szkole okazało się, że jest bardzo utalentowany i pracowity. Jeśli miał do wypowiedzenia tylko kilka linijek i to na końcu spektaklu, uczył się tej kwestii bardzo długo, dopracowując szczegóły. Chciał być we wszystkim doskonały. Duży sukces odniósł w sztuce Emlyn Williams pt. "The Morning Star". Tam go zauważono.

Był rok 1939. Młody Gregory Peck zaczynał studia w Nowym Jorku, wtedy gdy w Europie szykowano się do wojny. Przypadek zrządził, że podczas zajęć gimnastycznych uszkodził sobie kręgosłup, w wyniku czego przez sześć miesięcy musiał zakładać metalowy kołnierz. Gdy Ameryka przystąpiła do wojny, a wielcy gwiazdorzy pozakładali mundury, on został zwolniony ze służby wojskowej, a tym samym pozostał jednym z nielicznych młodych gwiazd na rynku. Wysoki (191 cm), ciemnowłosy, emanujący ciepłem i spokojem, z szelmowskim, tajemniczym uśmiechem wydawał się być godnym następcą hollywoodzkich amantów. Wprawdzie wielki producent David O. Selznick po próbnym zdjęciach stwierdził, że początkujący aktor nie posiada ekranowej prezencji i w notatce oceniającej napisał - *Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia co moglibyśmy zrobić z Gregorym Peckiem. To nie jest kandydat na amanta, on boi się własnego cienia.* Później jednak zmienił zdanie.



Gregory i Greta Peck z synami, 1947 r., fot. arch.
Grety Peck

W tym czasie odmieniło się też życie osobiste aktora. Już nie był sam, założył rodzinę i trzeba było pomyśleć o jej utrzymaniu. Greta Eine Matilda Kukkonen (1911 - 2008), pochodziła z Finlandii. Urodziła się na dworcu kolejowym w Helsinkach, jak to żartobliwie wspominała. Jej ojciec był wziętym jubilerem, dobrze się rodzinie powodziło, mimo to, rodzice zdecydowali, że przeniosą się na stałe do Nowego Jorku. Od tej chwili miasto to stało się dla przyszłej żony gwiazdora domem rodzinnym. Gdy Gregory Peck podejmował pierwsze próby w teatrze, ona

pracowała już jako wzięta charakteryzatorka dla wielkiej damy teatru Kathrin Cornell. Tak się złożyło, że byli razem na 9-cio miesięcznym turnée. Poznali się, zaprzyjaźnili. Pewnego popołudnia przechodzili ulicą w pobliżu kościoła na Clifft Ave. i postanowili, że właśnie teraz się pobiorą. Nie ma przecież na co czekać, skoro decyzja już została podjęta. Weszli do kościoła i wzięli ślub. Ksiądz znalazł im świadków. Następnego dnia powiadomili rodziców i zaprosili przyjaciół na obiad. - *To było takie praktyczne* - wspominała po latach Greta Peck - *bez tych wszystkich ceremonii.*

W 1943 r. Gregory i Greta Peck wyjechali do Hollywood. W Europie trwała wojna. Gregory otrzymał pierwszy angaż. Został obsadzony w głównej roli w filmie Jacquesa Tourneura "Odwet". Tytuł wzbudzał jednak oburzenie, mówiono, że jest zbyt brutalny, został więc zamieniony na "Dni chwały". Film był wybitnie propagandowy, miał wspierać aliancko-radziecki sojusz w walce z Hitlerem. Gregory Peck zagrał rosyjskiego partyzanta, który organizuje akcję sabotażową. - *Z tego filmu najbardziej pamiętam* - wspominał aktor swoją pierwszą rolę - *że reżyser stale mi powtarzał: "Mów normalnie Greg".* Wcześniej w teatrze Gregory pracował z reżyserem Guthriem Mc Clintic, który przysłuchiwał się próbom, siedząc w ostatnim rzędzie na balkonie i jeśli nie rozumiał choć jednej sylaby, natychmiast przerywał. Powtarzał ciągle, że bilety na balkon też nie są za darmo. Po takim treningu młodemu aktorowi wciąż się

wydawało, że mówi cicho i niewyraźnie. A tu, w filmie ciągle słyszał pytanie: *Dlaczego tak krzyczysz, przecież mikrofon jest pod twoim nosem.* W tym wojennym obrazie występował z doskonałą tancerką Toumanową. Dla przeciwwagi jej głos przypominał szept, reżyser miał więc podwójny kłopot. Film nie był ambitny, szybko zszedł z ekranu, ale łowcy talentów zauważyli odtwórcę głównej roli. Przekonał się też do niego producent David O. Selznick.



Gregory i Greta Peck z synami,, fot. arch. Grety Peck.

Młody aktor zaczął dobrze zarabiać, 1000 \$ na tydzień całkowicie wystarczało na utrzymanie, więc jego żona zrezygnowała z pracy i zajęła się domem. Przyzwyczajona do Nowego Jorku, źle się jednak czuła w Kalifornii. - *Wydawało mi się, że mieszkamy na campingu.* - wspominała. - *Nie lubiłam życia poza miastem. Czułam pustkę, brakowało mi ruchu i szumu na ulicach Beverly Hills. Najbliższy dom oddalony był o 3 mile. Szliśmy tam czasem po przyjęciu o 4-5 rano, żeby wykąpać się w basenie. Właściciel tego domu był wspaniałym śpiewakiem i kochał muzykę. Nastawiał płyty, a my pływaliśmy. Mieliśmy wtedy tyle energii.*

Po filmie "Dni chwały" Gregory Peck otrzymał rolę w "Kluczach do nieba" według powieści A. J. Cronina. Aktor zagrał misjonarza w Chinach i zmieniał się na ekranie z 18-to letniego chłopca w 80-cio letniego starca. Cronin był zachwycony. Po sukcesie tego filmu Gregory Peck rozmawiał z Gary Cooperem. Było to pierwsze spotkanie z gwiazdą amerykańskiego kina, mającą na swoim koncie już kilkadziesiąt filmowych ról. Gary Cooper zapytał: - *Jak tam pańskie dwie?* (role, red.) - *Jedna dobra, jedna zła* - odpowiedział Gregory Peck. - *O, to ma pan lepszy wynik, niż my wszyscy.*

Ekranową gwiazdą o dużej popularności stał się Gregory Peck dzięki roli w westernie "Pojedynek w słońcu" (1946). Zagrał tam amoralnego łajdaka złączonego fatalną, ale ognistą miłością z

piękną Jennifer Jons. To był przełom w karierze młodego aktora. Krytycy narzekali, że Gregory został źle obsadzony, że nie nadaje się do takiej roli, ale publiczność, zwłaszcza kobieca, była zachwycona. Tak samo zareagowano na kolejny western "Rewolwerowiec". Kreacja Pecka była niezwykle intrygująca i dwuznaczna. Widzowie długo pamiętali scenę, w której aktor ze zniewalającym spojrzeniem i kpiącym uśmiechem obserwuje ludzi, którzy wokół niego mordują. Zachowuje dystans i zimną krew. Trudno przewidzieć jak postąpi.

W małżeństwie dobrze mu się układało. Był zadowolony, że jego żona zajmuje się domem, że nie jest aktorką. Kochał ciepło rodzinne i każdą wolną chwilę poświęcał rodzinie, żonie i trzem synom (Johnathan, Stephen, Carey). Na tle szybko rozpadających się związków Hollywood byli parą niemal wzorową. Wszędzie widziano ich razem, na przyjęciach i cocktailach. Prowadzili dom otwarty, mieli wielu znanych i popularnych przyjaciół. Przyjaźnili się ze słynnym kolekcjonerem i fundatorem Muzeum w Malibu Paulem Gettym. Serdeczne stosunki łączyły ich z Ronaldem Reaganem i jego pierwszą żoną, która także była aktorką. Gdy praca Gregorego wymagała wyjazdu, w podróż wybierali się całą rodziną. Nic więc nie zapowiadało rozstania, ani atmosfery skandalu. A wszystko zaczęło się niewinnie, podczas kręcenia filmu "Rzymskie wakacje". Oczywiście na zdjęcia do Włoch, które miały trwać od maja do października (1952 r.) pojechali wszyscy razem. Zamieszkali w pięknej willi niedaleko Albano, w

posiadłości ziemskiej zwanej Vigna Saint Antonio. (Posiadłość tę kupił potem Anthony Quinn). Mieli służbę, szofer odwoził dzieci do szkoły. Gazety włoskie rozpisywały się na temat przyjazdu wielkiego amerykańskiego gwiazdora, pokazywano zwiedzającą miasto, rozpromienioną parę. - *Zaprosił mnie wtedy do siebie właściciel fabryki butów, pan Ferragamo - wspominała Greta Peck. - Przyjął mnie w salonie i obdarował różnymi modelami, ze swojej najnowszej kolekcji. Te będą na spacer, te z wizytą, a te na imieniny u cioci. Wyszłam z 12-toma parami butów. Byłam trochę zażenowana tą hojnością, ale nie znałam włoskiego i zupełnie nie wiedziałam, jak powiedzieć "nie" i "dziękuję".*



Gregory Peck i Audrey Hepburn w filmie „Rzymskie wakacje”,
fot. arch. Greta Peck

Film był pierwszą większą amerykańską produkcją po wojnie. Zdjęcia kręcono w plenerze, na ulicach Włoch. Aktorom przyglądały się tłumy. Policjanci zatrzymywali ruch. Bajka o ubogim, lecz szlachetnym dziennikarzu, romansującym z piękną, wrażliwą i delikatną księżniczką, uciekinierką z pałacu (Audrey Hepburn) wszystkim się bardzo podobała. W tym czasie Gregory Peck pojawił się na krótko w Paryżu. Przyszła do niego młoda francuska dziennikarka, rozpoczynająca pracę w "Paris Matcha", z zamiarem przeprowadzenia wywiadu. - *To była wielka, romantyczna miłość* - mówiła córka Gregorego, Cecylia - *miłość od pierwszego wejrzenia*. Gdy Gregory wrócił do Rzymu, było już jasne, że coś się stało z małżeństwem. Greta przed zakończeniem zdjęć wróciła z dziećmi do Kalifornii. Oficjalnie ogłoszono separację, która zakończyła się rozwodem. Zapytana po latach o przyczyny rozwodu odpowiedziała wymijająco. - *Gregory był bardzo rodzinny* - mówiła - *więc to jest naturalne, że spotkał w Europie inną kobietę, skoro mnie tam nie było*. Dużo później konsekwencje rozwodu okazały się jednak tragiczne w skutkach. Najstarszy syn Gregorego i Greta, Jonathan, trzydziestoletni wówczas reporter telewizyjny i pisarz mieszkający w Santa Barbara, popełnił samobójstwo. Podobno najbardziej przeżył rozejście się rodziców. Mimo, że po rozwodzie ojciec miał stały kontakt z synami, zabierał ich na weekendy, na wakacje, na święta, a także do pracy na plan filmowy, Jonathan, niezwykle podobny do ojca, zarówno z wyglądu, jak i charakteru, nie mógł zrozumieć dlaczego rozpadła się rodzina. Poczul się niekochany,

niepotrzebny. To uczucie spotęgowała w dorosłym życiu nieszczęśliwa miłość, doszło przepracowanie i choroba. Skończyło się tragicznie. Ani Greta, ani Gregory nie chcieli mówić o synu, chociaż byli w tym nieszczęściu blisko siebie.

Kłopoty rodzinne odsunęły wprawdzie aktora na jakiś czas od filmu, ale kariery nie zaprzestał. Ważnym wydarzeniem stała się współpraca z Hitchcockiem. Powszechnie panowała opinia, że Hitchcock lekceważył aktorów. Kiedyś wyraził się, że najważniejszym etapem realizacji filmu są dla niego prace przygotowawcze, a same zdjęcia to już tylko kwestia "wprowadzenia bydła do zagrody". Gregory Peck twierdził jednak, że wiele się od reżysera nauczył. Do tej pory grał według systemu Stanislawskiego, w którym najważniejszy jest autentyzm wewnętrznego przeżycia oraz umiejętność wzbudzenia w sobie pewnych stanów uczuciowych, myśli i emocji. Natomiast mimika, gesty i ruchy są spontaniczne, stanowią zewnętrzny wyraz uczuć. U Hitchcocka wszystko było z góry przewidziane, każdy szczegół, każdy ruch. Jeśli w określonej scenie aktor chodził lub siadał inaczej niż to było zaplanowane, zaczynały się konflikty. - *Wtedy byłem niedoświadczony - wspominał aktor - teraz wiem, że należy przyjąć dawane z góry pewne gesty, ruchy, pewien sposób bycia, a następnie szukać dla nich potwierdzenia w swej psychice.*

Pozycję aktora osłabiło nieco niepowodzenie w filmie "Moby

Dick” pomyślanego jako ekranizacja powieści Melville’a. Peck zagrał kapitana Achaba, demonicznego żeglarza, opętanego obsesją pościgu za białym wielorybem. Rola ta, tak charakterystyczna, nie mieściła się jednak w dotychczasowym wizerunku aktora. Niepowodzenie filmu w konsekwencji wpłynęło na zmianę sytuacji finansowej. Odtąd więc Gregory Peck stał się współproducentem filmów ze swoim udziałem. Zaczął od malowniczego westernu “Biały kanion”. Odniósł sukces kasowy filmem przygodowym “Działa Navarony”, z akcją rozgrywającą się podczas ostatniej wojny w Grecji. Największy jednak prestiżowy sukces, potwierdzony nagrodą Oscara, przyniósł mu dramat społeczny “Zabić drozda”. Akcja filmu rozgrywa się w małym miasteczku w stanie Alabama. Gregory Peck z wielką wirtuozerią i niezwykle przekonująco zagrał adwokata broniącego Murzyna, niesłusznie oskarżonego o gwałt. Sam aktor uważał, że był to jego najlepszy film. Miał on wymiar społeczny, dlatego pokazywany był w szkołach na lekcjach wychowania obywatelskiego. Na konferencji prasowej w Cannes, po prezentacji dokumentu o Gregorym Pecku, ktoś z sali powiedział, że właśnie dzięki filmowi “Zabić drozda” został adwokatem.



Gregory Peck w filmie „Zabić drozda”, fot. arch. Greta Peck

W dorobku artystycznym Gregorego Pecka są różne role. Przeważają role heroiczne, pokazujące Amerykę jako kraj wspaniałych ludzi, którzy potrafią pokierować własnym życiem, pokonać przeciwności losu i przezwyciężyć zło. Ale zdarzają się też role bohaterów negatywnych, jak chociażby kapitan Achab, egocentryk McArthur czy sadysta, doktor Liebermann, postać wzorowana na nazistowskim, zbrodniczym lekarzu, doktorze Mengele. Ostatnia jego duża kreacja, to rola w filmie “Old Gringo” z 1989 roku. Scenariusz oparty został na powieści harvardzkiego profesora i znanego autora Carlosa Fuentes, w

reżyserii Luisa Puenzo. Peck wcielił się w postać Amrose'a Bierce'a, amerykańskiego korespondenta w Meksyku, piszącego na przełomie XIX i XX wieku, podczas rewolucji meksykańskiej. Producentką filmu i jednocześnie filmową partnerką Pecka była Jane Fonda, w roli nauczycielki. - *Często spotykałem się z zarzutami - powiedział Gregory Peck, podsumowując swój aktorski dorobek - że mój typ osobowości jest trudny do zdefiniowania. Tymczasem ja się właśnie przed tym bronię. Nie chciałem by mnie zaszufładowano. Stale szukałem nowej formuły bohatera.*

Gregory Peck ma też na swoim koncie film o zupełnie innym charakterze, obraz skierowany przeciwko wojnie w Wietnamie pt. "Trial of the Catonsville Nine". Jednak wielkie wytwórnie zabroniły jego pokazywania, gdyż w sposób oczywisty sprzeciwiał się rządowi Nixona. Wyświetlano go tylko w bardzo niewielu kinach studyjnych. Do akcji pokazujących konsekwencje wojny włączył się aktywnie syn Gregorego i Grety, Stephen. Przeżył Wietnam, był więc naocznym świadkiem tych wydarzeń. Po powrocie nakręcił wstrząsający dokument. Film ten zdobył wiele nagród, pokazywany był też w Europie. Stephen przez wiele lat związany był z organizacją "Weterani Los Angeles". Pracował w administracji socjalnej. Organizacja ta dawała przejściowe miejsca zamieszkania bezdomnym weteranom, prowadziła poradnictwo w krytycznych sytuacjach, dawała pomoc psychologiczną, pośredniczyła w znalezieniu

pracy. Ludzie, zbierani z ulicy zamieszkiwali w ośrodku, który znajdował się w Long Beach, a specjaliści przeprowadzali bardzo skomplikowany proces adaptacji. W samym okręgu Los Angeles jeszcze w 2002 roku było 25. tys. bezdomnych weteranów. Greta Peck znalazła tu też i dla siebie miejsce. Przyjeżdżała do Long Beach w każdy poniedziałek, zajmowała się znajdowaniem miejsc pobytu dla bezdomnych i rehabilitacją. Przygotowywała posiłki, rozmawiała, organizowała Christmas Party.

Dzieci Gregorego Pecka z Veronique Passani, syn Anthony i córka Cecylia, grają w filmach. Natomiast synowie z Gretą, wybrali inne zawody. - *Nigdy nie chciałem być aktorem* - powiedział Stephen - *i myślę, że decyzją tą nie rozczarowałem ojca. Ten zawód to nie business, żeby móc przekazać go dzieciom. Aby grać, trzeba mieć unikalny zbiór cech osobowości i charakteru. Ja ich nie miałem.*

Carey Peck pracował w Metro, w dziale zaopatrzenia. Wierzył, że to co robi jest bardzo ważne. Obaj synowie ożenili się z artystkami, malarkami. Na wernisaże organizowane w Los Angeles zawsze przychodził ojciec. Wtedy się spotykali.

Gregory Peck mieszkał we wspaniałej rezydencji w ekskluzywnej dzielnicy Los Angeles w Bel Air. Posiadłość nie była dostępna, ani widoczna z daleka. Otoczona starymi drzewami, dawała poczucie spokoju i odosobnienia. Greta Peck mieszkała niedaleko

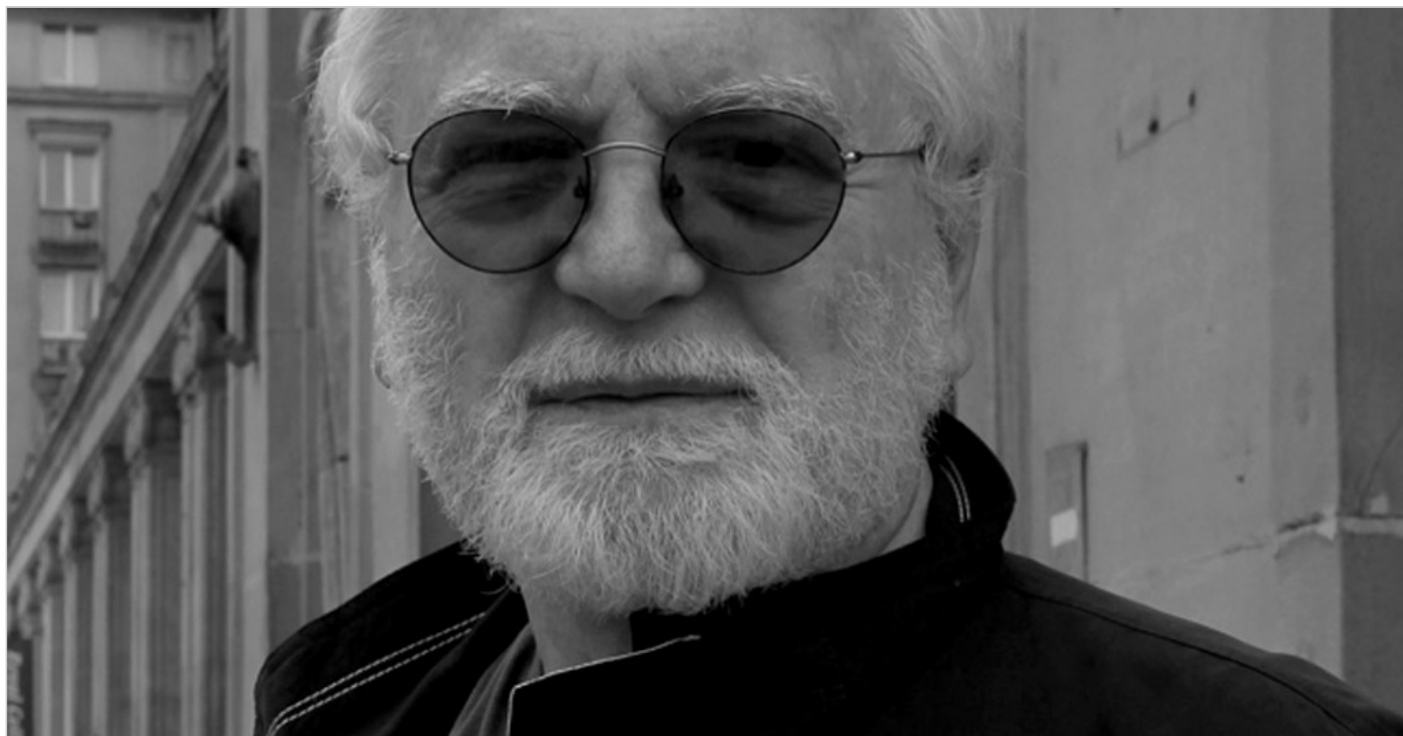
Beverly Hills. Nie miała żalu do męża. Przyzwyczała się być sama. Miała różne rodzaje aktywności, które jej życie wypełniały. Uważała się za szczęśliwą osobę. - *Teraz cieszę się życiem więcej niż kiedykolwiek - mówiła - bo więcej widzę i więcej doceniam.*



Joanna Sokołowska-Gwizdka z Gretą Peck w jej domu w Los Angeles w 1998 r., fot. arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Na podstawie rozmowy Joanny Sokołowskiej-Gwizdka z Gretą Peck i synem Stephenem Peckiem w Kalifornii w 1998 roku.

Andrzej Krakowski,
autor Pollywood:
Żyjemy w ich snach.



Andrzej Krakowski, fot. archiwum prywatne.

O nostalgii za Wrocławiem, trudach emigracji, zajęciach z Hitchcockiem i okolicznościach powstania książek o polskich korzeniach Hollywoodu, ze znanym reżyserem, scenarzystą, pisarzem i wykładowcą, Andrzejem Krakowskim, rozmawia Barbara Lekarczyk-Cisek.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Spotykamy się we Wrocławiu, gdzie promuje Pan swoje książki: "Pollywood", opowiadające o tym, że Hollywood stworzyli głównie polscy emigranci. Ale tych poloników jest znacznie więcej. Podobno Pański ojciec urodził się właśnie tutaj - w stolicy Dolnego Śląska?

Andrzej Krakowski: Tak, mój ojciec urodził się we Wrocławiu,

kiedy jeszcze to miasto nosiło nazwę Breslau. Także moja żona pochodzi z Wrocławia. Ja sam jestem związany z tym miastem uczuciowo. Między 1956 a 1968 rokiem ojciec [*Józef Krakowski - przyp. B.L.-C.*] był szefem produkcji zespołu Forda, a następnie "Kamera", a ponieważ nie lubił Warszawy, wiele filmów realizował we Wrocławiu, m.in. filmy Wojciecha Jerzego Hasa, "Nóż w wodzie" Romana Polańskiego. Bardzo lubiłem z nim przyjeżdżać, bo to miasto żyło jakimś innym życiem. Brakowało mi świata, który chciałem poznać, a który zniszczyła wojna. W tamtym czasie Wrocław to jeszcze m



Ojciec Józef Krakowski (z lewej) na planie Noża w wodzie z Romanem Polańskim, fot. Filmoteka Narodowa.

iał, podobnie Łódź. Po latach, kiedy miałem możliwość przyjechać do Polski w 1986 roku, wróciliśmy właśnie do Wrocławia. I oczywiście kręciłem tu filmy.

BLC: Czy to ojciec sprawił, że zainteresował się Pan filmem?

AK: Nie, przeciwnie - ojciec bardzo nie chciał, abym zajmował się filmem. Kiedy po maturze złożyłem papiery do szkoły filmowej w Łodzi, bardzo się zdenerwował. Uratował mnie fakt, że pięciu uczniów z mojej klasy wyselekcjonowano na studia dyplomatyczne do Moskwy, w rezultacie czego ojciec uznał, że już lepsza od tego jest szkoła filmowa.

Filmem zaraził mnie Andrzej Munk, który był zaprzyjaźniony z ojcem i całą naszą rodziną. Kiedy zabierano mnie na spacer do Lasku Bielańskiego, a ja bez przerwy gadałem, to Andrzej kładł mi palec na usta i mówił, abym powiedział to wszystko jednym słowem. W ten sposób uczył mnie nie tylko pewnej ascezy, ale również estetyki ironii. To we mnie pozostało, a ironia przekradła się również do moich książek.

Z perspektywy lat lepiej rozumiem, dlaczego ciągnęło mnie do filmu. Kiedy wprowadzono religię do szkół, zaczęto nas, nie biorących udziału w zajęciach, szykanować. Będąc na planie filmowym u Munka ("Zezowate szczęście") oraz Nasfetera ("Małe dramaty"), zwróciłem uwagę na to, że reżyser tworzy własny model świata. Pomyślałem wtedy, że dobrze by było stworzyć taki własny świat, w którym by mi nikt nie dokuczał, szczególnie że byłem rudy, mały i na dodatek Żyd (*śmiech*). W tym świecie panowałoby dobro.

BLC: Chciał Pan w gruncie rzeczy reżyserować swoje życie, by

mieć na nie wpływ...

AK: Tak, chciałem mieć na nie wpływ.

BLC: Studia to bardzo ważny okres w życiu młodego człowieka zetknął się Pan z wieloma indywidualnościami. Kto w tamtym czasie był Pana mistrzem?

AK: To się właściwie zmieniało. Na pierwszym roku był Jerzy Passendorfer, który nas szybko zagnał do pisania scenariuszy, bo już wtedy miał zamiar kręcić film o Janosiku. Podobno sporo naszych pomysłów weszło potem do tego filmu.

Na drugim roku naszym opiekunem był Stanisław Różewicz, na trzecim - Andrzej Wajda, a na czwartym Janusz Morgenstern. Każdy przynosił ze sobą bagaż swoich doświadczeń, przeżyć i snów. Wajda, u którego odbyłem staż asystencki przy "Popiołach", był cudowny. Dzięki niemu wiedzieliśmy na przykład jak wywieść w pole cenzurę.

Już na początku studiów Stanisław Wohl polecił nam napisać na kartkach, jakie kino chcemy tworzyć za dziesięć lat. To miało być nasze credo artystyczne. Dokładnie pamiętam, co wówczas napisałem, a mianowicie, że fascynuje mnie los człowieka postawionego wobec wyborów, z których żaden nie jest dobry. Kiedy teraz patrzę w pewnej perspektywie na moje filmy,

dostrzegam w nich tę myśl, którą wówczas zapisałem.



Józef Krakowski z Wojciechem J. Hasem podczas kręcenia „Lalki”, fot. Filmoteka Narodowa.

BLC: Kiedy ukończył Pan szkołę filmową, otrzymał stypendium do USA, ale ten wyjazd okazał się bardzo brzemienny. Kiedy bowiem już Pan znalazł się w Stanach – był rok 1968 – okazało się, że odebrano Panu obywatelstwo i możliwość powrotu do

Polski. Jak wyglądało Pańskie życie w tym momencie, gdy trzeba było zacząć wszystko od nowa?

AK: Miałem wprawdzie w Stanach przyjaciół, m.in. Romka Polańskiego, który mi bardzo pomógł. I to w sposób bardzo mądry. Wszystko to jednak było rozciągnięte w czasie i trwało parę lat. Roman nie uległ namowom mojego ojca, który chciał, abym pracował z Polańskim, wiedząc, że taka zależność nie skończyłaby się niczym dobrym. Obiecał mi natomiast, że kiedy zacznę robić swój pierwszy niezależny film, wówczas przedstawi mnie szefom studiów filmowych. I tak się stało.

W tym czasie znalazła się ze mną na emigracji moja młodsza siostra, wtedy tuż przed maturą. Musiałem więc zacząć pracować, aby utrzymać ją, a wspomóc także ojca, który znalazł się bez pieniędzy we Frankfurcie. Miałem co prawda w Los Angeles rodzinę ze strony ojca, ale oni stosunkowo szybko umyli ręce. Myśmy byli już innymi emigrantami niż oni: lepiej wykształceni, wiedzieliśmy więcej o świecie, szybko nauczyliśmy się języka (zwłaszcza siostra). Kuzyn pomógł mi załatwić pracę w fabryce produkującej półki, znacznie oddalonej od miasta. Komunikacja była bardzo zła, więc nie mając samochodu musiałem liczyć na to, że podwiezie mnie właściciel. W rezultacie często sypiałem na... półce w fabryce. Ale gdy się ma - jak ja wówczas - dwadzieścia jeden lat, jest się niezniszczalnym i najmądrzejszym.

Kiedy więc robiąc dobrą minę do złej gry, naprawiłem zepsutą prasę hydrauliczną, awansowałem do roli kierowcy dużej ciężarówki. Było to duże wyzwanie, bo na początku nie miałem żadnego doświadczenia. Po opuszczeniu terenu fabryki, kiedy znikłem z pola widzenia szefa, zadzwoniłem do Marka Hłaski, który mieszkał wówczas w Hollywood i sporo drinkował. Upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiałem jego instrukcje. Prowadziłem ciężarówkę przez trzy miesiące i nie zdarzył mi się żaden wypadek, nie dostałem żadnego mandatu. Bardzo się wtedy pocilem, ale funkcjonowałem (*śmiech*).

BLC: Na szczęście zmagał się Pan z tą materią dość krótko. Co było dalej?

AK: W Los Angeles spotkałem dwóch ludzi, których poznałem w Warszawie: Henryka Warsa i Bronisława Kapera. Ojciec znał Warsa jeszcze z Armii Andresa, więc namówił mnie na spotkanie z nim. Okazał się bardzo serdeczny, ale niestety nie był w stanie mi pomóc. Skierował mnie do Bronka Kapera, który był wówczas jednym z szefów Akademii Filmowej i miał rozliczne znajomości. Ten jednak odmówił mi pomocy. Minęło sporo lat i stosunki między nami uległy poprawie, a nawet zawiązała się przyjaźń, ale na początku tak to wyglądało. Polański był w tym czasie w Londynie, a Krzysztof Komeda już nie żył.

Traf chciał, że na występy do Los Angeles przyjechała Ida

Kamińska i kiedy poszedłem się z nią przywitać, zostałem przedstawiony siwemu, dystyngowanemu panu, mówiącemu piękną polszczyzną, którym okazał się wybitny przedwojenny reżyser – Józef Lejtes. Zaopiekował się mną i poznał z innymi reżyserami. Poza tym dopingował mnie do nauki i mimo zmęczenia, mobilizowałem się. W pewnym momencie dostałem się do Amerykańskiego Instytutu Filmowego, który – o czym mało kto wie – został zorganizowany przez prof. Stanisława Wohla, któremu trzy miesiące przed otwarciem uczelni skończyła się wiza, więc wrócił do Polski. Ściągnięto wtedy Franka Daniela z czeskiej szkoły filmowej i powstanie uczelni przypisano Czechom.

BLC: Jak wyglądały studia w Amerykańskim Instytucie Filmowym? Kto Pana uczył? Podobno wśród wykładowców był także sam Alfred Hitchcock?

AK: Spotkania z Hitchcockiem wyróżniały się spośród pozostałych zajęć. Milos Forman i John Cassavetes unikali pomieszczeń, a ponieważ szkołę otaczał olbrzymi ogród, w nim odbywaliśmy zajęcia, siedząc pod drzewami. Hitchcock – przeciwnie, zdecydowanie wolał zamknięte pomieszczenia, a w dodatku zakazywał otwierania okien albo drzwi balkonowych. Panowała absolutna cisza. Sam reżyser ubrany był zawsze w garnitur, do którego nosił krawat. Siadywał w wielkim fotelu i patrzył na nas bardzo przenikliwie i poważnie, podczas gdy myśmy truchleli. Co więcej, z szacunku dla niego ubieraliśmy się

również lepiej niż zwykle, za wyjątkiem Davida Lyncha, który wszystko robił na opak. Na zajęcia z Hitchcockiem ubierał jeansy i słomkowy kapelusz i mistrz zawsze patrzył tylko na niego. Z kolei na zajęcia do Cassavetesa i Formana przychodził ubrany w garnitur i znowu przyciągał wzrok.

Hitchcock zazwyczaj przynosił nam sceny, pochodzące głównie z jego programu telewizyjnego i przy okazji dawał świetne lekcje. Jedną z takich scen przygotowywał mój kolega Mike Murphy, który wszystko dokładnie poustawiał. Kiedy Hitchcock zapytał go, gdzie ustawi kamerę, wybrał miejsce twierdząc, że stamtąd będzie najlepiej widać. Na to mistrz bardzo się zdenerwował, nakrzyczał na Mike`a i wyrzucając mu, że nie ma żadnej wizji, kazał mu opuścić salę. W taki oto gwałtowny sposób nauczył nas, że filmu nie robi się dlatego, że coś dobrze widać. Reżyser musi dokonać wyboru i wiedzieć, czego chce. Mimo gwałtownego charakteru, miał zawsze na swoich zajęciach komplet słuchaczy.



Andrzej Krakowski, fot. mat.prasowe.

BLC: Pański wyjazd do Stanów, ze względu na jego okoliczności, przywiódł mi na myśl historię biblijnego Józefa, którego bracia sprzedali do Egiptu. Gdyby nie Pan, te książki, w których zawarł Pan historie Polaków – pionierów przemysłu filmowego, a także artystów, nie powstałyby. W którym momencie doszedł Pan do wniosku, że powinna powstać książka przybliżająca sylwetki ludzi o polskim rodowodzie, którzy stworzyli Hollywood?

AK: Na początku przeżywaliśmy gniew, ból i mówiliśmy już tylko po angielsku, próbując odciąć się od polskich korzeni. Widzieliśmy przy tym domy Warsa i Lejtesa, gdzie pielęgnowało

się język polski i czuło się dumę z faktu bycia Polakami. Zrozumiałem po pewnym czasie, że od tego nie można uciec. Nie ma łatwych emigracji. Moja siostra została programistką i świetnie sobie dawała radę, ja jednak byłem skazany na język, na inną mentalność i kulturę i było mi bardzo ciężko.

Bezpośrednią iskrą, która sprawiła, że podjąłem się napisania książek, był przyjazd Maćka Putowskiego – scenografa, który na polecenie Muzeum Kinematografii szukał w Stanach eksponatów na wystawę na stulecie kinematografii. Zapytał mnie o filmowców amerykańskich o polskich korzeniach. Kiedy zasypałem go nazwiskami, złapał się za głowę i stwierdził, że trzeba by zrobić o tym osobną wystawę. Ekspozycja ostatecznie nie powstała, ale zacząłem dojrzywać do napisania książki. Kiedy zacząłem szperać w poszukiwaniu informacji, zrozumiałem, że sam nie zdawałem sobie sprawy, jak wielka jest to skala.

BLC: Niektórych bohaterów swoich książek poznał Pan osobiście. Jacy byli prywatnie?

AK: Niektórych rzeczywiście poznałem osobiście. Jacy byli? Każdy był inny, ale wszyscy mieli pasje kolekcjonerskie i konkurowali ze sobą o to, kto ma lepsze obrazy. Potrafili być uszczypliwi w stosunku do siebie, np. Billy Wilder dokuczał Otto Premingerowi, że nie kupuje obrazów, tylko nazwiska. Dla Wildera, który tryskał humorem, życie było jednym wielkim

gagiem. Mieli też dla siebie dużo ciepła i pomagali sobie, gdy była taka potrzeba.

O niektórych bohaterach dowiadywałem się w niezwykłych okolicznościach. Tak było z Markiem M. Dintenfassem, który powinien być znaleźć się w pierwszym tomie – jako prawdziwy pionier, ale do materiałów o nim dotarłem znacznie później. Niezwykły człowiek, którego poznawanie sprawiło mi wiele satysfakcji, mimo że nie było osobiste. Tacy jak on i jemu podobni stworzyli pewną wizję świata i my dzisiaj żyjemy w ich snach.

BLC: Jest Pan nie tylko historykiem kina – odkrywcą jego polskich korzeni, ale także wykładowcą, scenarzystą i reżyserem. Pańska twórczość jest, niestety, w Polsce mało znana. Proszę wobec tego przybliżyć naszym czytelnikom problematykę Pańskich filmów.

AK: Zawsze powtarzam, że jestem w Polsce najlepiej utrzymanym sekretem (śmiech). Nie jestem "tylko" filmowcem i nie znoszę szufladkowania. W gruncie rzeczy jestem humanistą: piszę, robię filmy, rysuję karykatury... Wszystko się u mnie zaczyna od idei, która sama sobie znajduje ujście. Czasami w formie książki, a kiedy indziej – filmu lub sztuki. Muszę też odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego chcę opowiedzieć tę właśnie historię. Zazwyczaj moje pobudki są głęboko

humanistyczne: nie chcę, aby ktoś doświadczył czegoś, przed czym pragnę go w pewien sposób przestrzec.

Filmem, który bardzo cenię i lubię, jest mój ostatni obraz - "W poszukiwaniu Palladyna" (2009). Zrobiłem go z dwóch powodów. Po pierwsze, kiedy w czasie choroby żony znalazłem się w nowym otoczeniu nieznanymi mi ludźmi, doświadczyłem wiele serdeczności i opieki, za które chciałem swoim filmem podziękować. Po drugie, zauważyłem, że młodzi ludzie są wiecznie roznarzekani, a przy tym niecierpliwi i chętnie idą na gotowe. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego tacy są - co myśmy im takiego przekazali. My, to znaczy pokolenie lat sześćdziesiątych - dzieci-kwiaty, które były narcyzami interesującymi się wyłącznie sobą i które rozbiły naturalną strukturę rodziny. Nikt młodemu pokoleniu nie powiedział: "Przepraszam, to ja zawiniłem" i ja poprzez ten film chciałem to zrobić.

BLC: Czym się Pan aktualnie zajmuje? Czy powstanie trzeci tom Pańskiej historii Hollywood?

AK: Jestem w trakcie pisania. Dodam, że cały ten cykl książek będzie miał swoją wersję filmową. Każdemu z moich bohaterów poświęcę jeden odcinek serii filmów dokumentalnych. Zgromadziłem materiał na pięć książek - ponad pięćdziesiąt postaci i chciałbym wykorzystać zarówno materiały archiwalne,

jak też inscenizacje i fotoanimacje. Zamierzam rozbudować ścieżkę dźwiękową i nagrać komentarz w siedmiu językach, co pozwoli mi dotrzeć do widzów na całym świecie. Ponadto planuję nakręcić film fabularny o Krzysztofie Komedzie, ponieważ do tej pory nikt nie powiedział prawdy o jego życiu. Znaliśmy się już w czasach dzieciństwa i przyjaźnili; byłem świadkiem jego wypadku i opiekowałem się wraz z innymi podczas jego pobytu w szpitalu. Czas odkłamać wszystkie powstałe wokół jego osoby mity.

<http://kulturaonline.pl>

Andrzej Krakowski: Pollywood, czyli jak stworzyliśmy

Hollywood



Andrzej Krakowski, fot. Jelenia Kultura, YouTube.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Hollywood stworzyli wizjonerzy i artyści rodem z Polski - twierdzi autor książek. Samuel Goldwyn, bracia Warnerowie, Billy Wilder czy Fred Zinnemann są po prostu nasi.

Stwierdzenie, że Hollywood stworzyli ludzie o polskich

korzeniach wydawać by się mogło zbyt śmiało, odrobinę szalone, a na dodatek megalomańskie. Polacy stworzyli Hollywood?! – zapyta każdy z powątpiewaniem. A jednak to fakt. Wątpiących odsyłam do książek Andrzeja Krakowskiego, który jak nikt dotąd sprawę tę zbadał i opisał. I to jak!

Pierwsza publikacja: "Pollywood. Jak stworzyliśmy Hollywood" ukazała się w 2011 roku w PWN, ale jakoś przeszła bez echa. W ubiegłym roku Wydawnictwo Blue Bird podjęło temat ponownie i nie tylko starannie wydało tę pozycję, ale również zaplanowało – wychodząc naprzeciw autorowi – następne. W rezultacie w tym roku do rąk czytelników trafiła kolejna część opowieści o stworzeniu Hollywood przez Polaków, zatytułowana tym razem "Pollywood. Uciekinierzy w raju", w której krąg nazwisk znacznie się poszerza. Z naszej rozmowy z Andrzejem Krakowskim wynika, iż autor kończy pisać trzeci tom i że powstaną kolejne, bo liczba nazwisk jest znacznie bogatsza.

Autor, będąc na emigracji, sam ze zdumieniem odkrył, że to właśnie Polacy stworzyli imperium filmowe i nadali mu kształt, który znamy obecnie. Byli wizjonerami, którzy mieli niekonwencjonalne pomysły nie tylko na samą sztukę filmową, ale także na jej dystrybucję w takim kształcie, jaki wszyscy znamy. Uciekając przed biedą i prześladowaniami, trafili do Stanów pasjonaci fotografii i wynalazcy, a także artyści.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Pollywood



JAK STWORZYLIŚMY
HOLLYWOOD

Okadka pierwszej publikacji/Blue Bird

Siegmund Lubin - wizjoner kina

O niektórych z nich świat zapomniał. Nazwisko Edisona zna każdy, ale mało kto wie, że wynalazcą wszech czasów był konkurujący z nim Siegmund Lubin, czyli urodzony we Wrocławiu (wówczas Breslau) lub Poznaniu Zygmunt Lubszyński. Wyemigrował do Stanów w 1876 roku. Krakowski barwnie opowiada epopeję tego człowieka, który odziedziczywszy po ojcu profesję, zajął się produkcją soczewek i długo klepał (wraz z rodziną) biedę, zanim osiągnął stabilizację. Mimo ciężkiej wielogodzinnej pracy, miał wielki zapał i znajdował czas na eksperymentowanie z fotografią, a później z filmem.

Zapraszał do siebie miejscowe postacie, przebierał je w kostiumy, inscenizował sceny z życia lub z literatury i fotografował, a następnie układał w sekwencje i ... sprzedawał na targach albo w szkołach. Potem odkrył kamerę i było to dla niego niezwykle inspirujące. Kupił od pewnego wynalazcy (Jenkins) ważącą blisko tonę kamerę i niebawem zaczął kręcić filmy. Nie tylko ulepszał sprzęt, ale - co ważniejsze - miał nowatorskie pomysły odnośnie tematyki i formy filmów. Postanowił m.in. przenieść na ekran w odcinkach historię wojny amerykańsko - hiszpańskiej, wyprodukował także całą Drogę Krzyżową ("Misterium pasyjne"). A nie były to jeszcze czasy wytwórni filmowych i filmy kręcono, gdzie się dało.

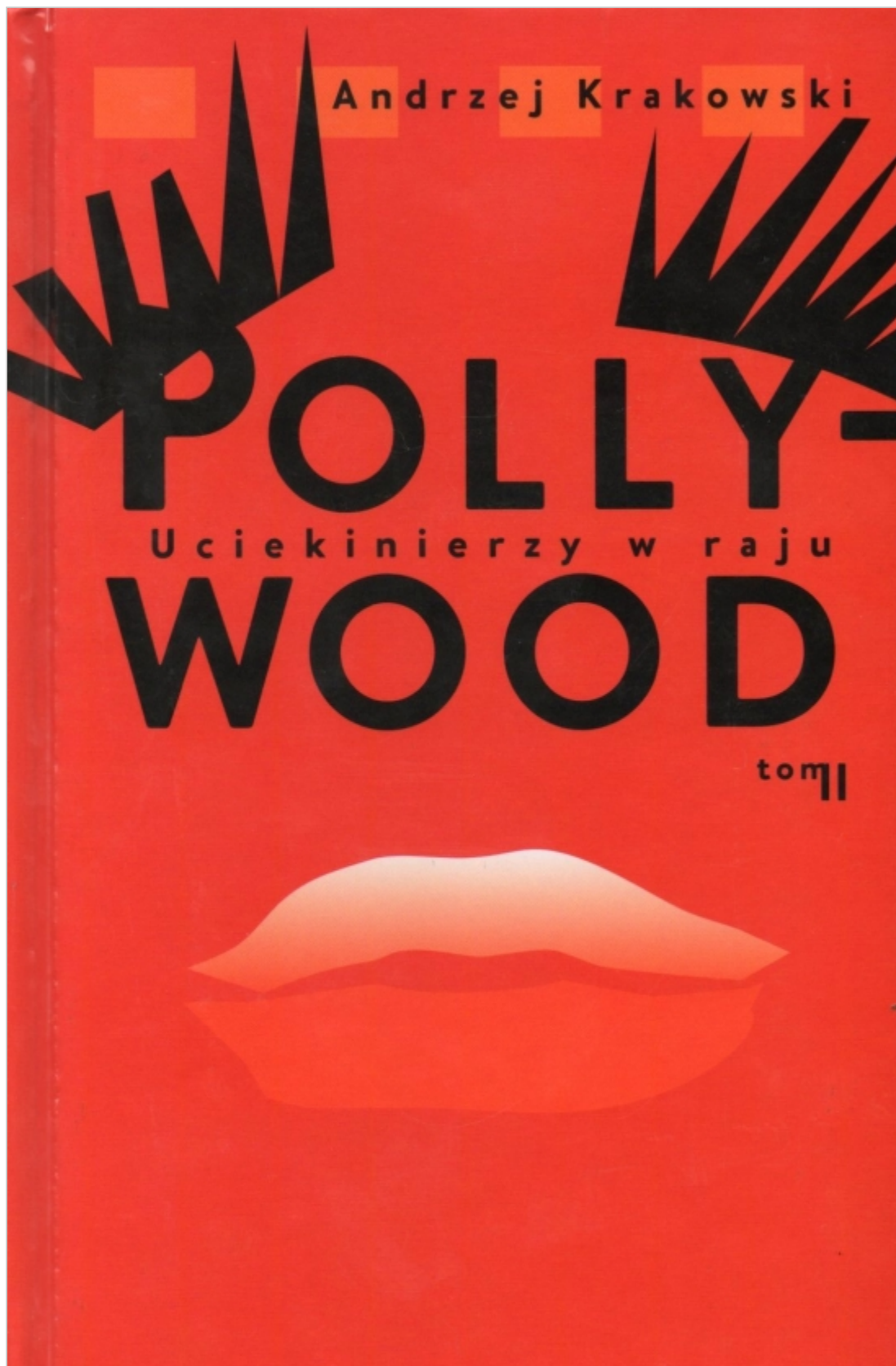
Jeśli sąsiedzi byli zaniepokojeni – pisze z charakterystycznym dla siebie humorem Krakowski – widokiem pijanego Judasza Iskarioty zataczającego się w ogródku Lubinów lub Szymona Słupnika grającego w kości za stajnią, widok Jezusa krzyżowanego nad ranem w tej żydowskiej dzielnicy wprowadził ich w stan hysterii.

To Lubinowi zawdzięczamy utrwalone obrazy prawdziwych pożarów i huraganów, ponieważ wysyłał swoich pracowników do ich filmowania, tworząc tym samym podwaliny pod pierwsze kroniki filmowe. On też jako pierwszy zaczął zakładać kina. I nie były to bynajmniej zgrzebne miejsca jak u konkurencji, ale budynki o wspaniałych fasadach, których zadaniem było przyciągać "lepszą" publiczność. Inna sprawa, że za tym pompatycznym wystrojem skrywały się twarde i byle jakie krzesła (często pożyczone), za ekran służyła płachta zawieszona na ścianie, projektor niemiłosiernie trajkotał, zaś zdezelowane pianino okrutnie rzępoliło. Takie były siermiężne początki.

Lubin wymyślił także edukację przez film, udostępniając swoje kamery chirurgom do filmowania skomplikowanych operacji. W ogóle rozpiętość jego działalności przyprawia nawet dziś o zawrót głowy. Był kinooperatorem, aktorem, reżyserem, scenarzystą i producentem, a jak by tego było mało – także dystrybutorem i właścicielem kin. Wszystko robił z rozmachem.

Zbudował nawet ogromne studio z halami zdjęciowymi i nazwał je Lubinville.

Bez projektora Lubina - pisze autor - nie byłoby dzisiaj kin, bez jego wizji nie mielibyśmy sieci multipleksów. W pewnym momencie był właścicielem trzech wytwórni i we wszystkich otworzył dla swoich pracowników stołówki oraz przedszkola dla ich dzieci. Dał też szansę zaistnienia wielu ludziom, był życzliwy i otwarty. To dzięki niemu Henry King stworzył swoje historyczne filmy, a Oliver Hardy (znany komik z duetu Flip i Flap) zagrał pierwszą rolę.



Okładka najnowszej publikacji/Blue Bird

„Pół żartem, pół serio” nakręcił Polak!

Przytoczyłam przykład zapomnianego pioniera filmu, aby trochę przyszły czytelnik mógł posmakować tego, co nam autor przygotował. Jednakże takich pasjonatów i ludzi nietuzinkowych znajdziemy w książkach Krakowskiego wielu. Jest wśród nich m.in. założyciel wytwórni Metro-Goldwyn_Mayer: Samuel Goldwyn, urodzony w Warszawie jako Szmul Gelbfisch, Louis B. Mayer z Mińska, Lewis Żelaźnik, którego znamy jako Selznicka, bracia Warnerowie z Krasnosielc, a także William Fox, Adolph Zukor, Otto Preminger (z Wiśnicy), Fred Zinnemann z Galicji i wielu innych. Jakże miło jest pomyśleć, że ulubiony western "W samo południe" czy ukochaną komedię "Pół żartem, pół-serio" zrobili jednak „nasi”, nieprawdaż?

Mało kto dziś wie, że aktor pierwszego filmu dźwiękowego ("Śpiewak jazzbandu", 1927) - Al Jolson pochodził z terenów należących do Polski (prawdopodobnie z Sieradza), a Billy Wilder z Suchej Beskidzkiej. Że słynny Charles Bronson to naprawdę Karol Buczyński...

Wielką zaletą książek Andrzeja Krakowskiego jest nie tylko ich potoczysta, pełna humoru, a czasem ironii, narracja, ale także rzetelność biografów. Autor dotarł do wielu źródeł, które w swojej książce przedstawia krytycznie i odnosi się przy tym do własnych doświadczeń, także do osobistych relacji z niektórymi swoimi

bohaterami, których miał szczęście poznać. Znakomicie zna nie tylko ich losy, ale też osadza je w szerokim kontekście społeczno - obyczajowo - politycznym, dzięki czemu lepiej rozumiemy ich motywacje, zachowania - ich osobowości. A były to indywidualności nieprzeciętne, które odcisnęły swój ślad na kolejnych pokoleniach kinomanów. Bez większej przesady można powiedzieć, że bez nich nie bylibyśmy tacy, jacy jesteśmy.

Andrzej Krakowski wykonał pracę, którą nie sposób przecenić - odkrył bowiem dla nas inny, polski Hollywood - Pollywood właśnie, jako część naszego dziedzictwa, którego nie byliśmy dotąd świadomi.

Wywiad z Andrzejem Krakowskim ukaże się na stronie w piątek 2 grudnia.

<http://kulturaonline.pl>